

Jan Brzechwa

## BAŚŃ O STALOWYM JEŻU

Na ulicy Czterech Wiatrów  
Niedaleko Bonifratrów  
Do zachodnich ścian przytyka  
Sklep Magika Mechanika.  
Sklep ten zawsze jest zamknięty,  
Lecz przez okno wystawowe  
Widać różne dziwne sprzęty,  
Różne części metalowe,  
Tajemnicze instrumenty,  
Automaty, lalki, skrzynki,  
Nakręcane katarynki,  
Śpiewające psy i świnki.

Z głębi sklepu znad stolika  
Patrzą oczy Mechanika.  
Widać jego twarz niemłoda,  
Okoloną rudą brodą,  
Duże uszy, nos spiczasty  
I krzaczaste brwi jak chwasty

Całe noce Magik siedzi  
Pośród zwojów drutu z miedzi,  
Warzy zioła, praży kwasy  
I uciera kuperwasy.  
Kto zobaczy Mechanika,  
Tego zaraz lęk przenika,  
Ten ucieka od wystawy,  
Choćby nawet był ciekawy.

Dnia pewnego w październiku  
Napłynęło chmur bez liku,  
Runął wicher porywiście,  
Poleciały żółte liście,  
Zaciemniły się błękity,  
Zgęstniał mrok niesamowity.  
Snadź żałosny śpiew jesieni  
Albo napływ nocnych cieni,

Albo gwiazd zupełny zanik  
Sprawił właśnie, że Mechanik  
Usnął nagle przy stoliku  
Dnia pewnego, w październiku.

Spał jak kamień. A tymczasem  
Drzwi rozwarły się z hałasem  
I ze sklepu na ulicę  
W noc, w jesienną nawałnicę  
Wybiegł z chrzęstem jeź stalowy  
Miał przyłbicę zamiast głowy,  
Od przyłbicy aż po pięty  
W stal hartowną był zaklęty.  
Miał też pancerz - z każdej strony  
Mnóstwem igieł najeżony,  
Nadto miecz ze stali twardej,  
Tarczę tudzież halabardę.

Jeź przez chwilę nasłuchiwał,  
Coś wspominał, coś przeżywał.  
Spojrzał w noc październikową  
I zacisnął pięść stalową.  
W krąg ulica była pusta.  
Mrok narastał, wiatr nie ustał,  
Deszcz jesienny w szyby chlustał.

Co się stało, to się stało,  
Widać tak się stać musiało,  
Jeź więc naprzód ruszył śmiało,  
Pędził w dal opustoszałą,  
Pod murami się przemykał  
I w zaułkach ciemnych znikał.  
A gdy biła jedenasta,  
Jeź opuścił mury miasta.

Minał sady i ogrody,  
Przebiegł szybko gaik młody,  
Aż wydarłszy się zawiei  
Jeź stalowy dopadł kniei.  
Tu odetchnął. Leśne zmory  
W dziuplach jadły muchomory,  
W opuszczonym jarze strzygi  
Odprawiały na wyścigi  
Swoje płasy i podrygi,

Wiedźmy spały w gniazdach wronich,  
Sowy piał, a koło nich,  
Wyskoczywszy na wierzchołek,  
Na piszczałce grał Dusiołek.

Jeż przez chwilę odpoczywał,  
Coś wspominał, coś przeżywał,  
Lecz niebawem ruszył dalej,  
Budząc wiedźmy chrzęstem stali.

Brzask od wschodu jaśniał złudnie,  
A Jeż zdązał na południe,  
Stanął właśnie na polanie,  
Gdy znienacka, niespodzianie  
Ujrzał tam, gdzie rzednie knieja,  
Czarodzieja Babuleja.

Miał Babulej łeb jak skała,  
Z nozdrzy para mu buchała,  
Wylatywał ogień z gęby,  
Miał ramiona jak dwa dęby,  
Każdą nogę miał jak wieża.  
Gdy się ocknął, spostrzegł Jeża.

Był Babulej tak potężny,  
Że Jeż mężny i orężny  
Zbladł - o ile jeże bledną,  
Ale to jest wszystko jedno.  
Rzekł Babulej: "Hej, rycerzu,  
Hej, stalowy dzielny Jeżu,  
Jaka moc i jaka władza  
Do tej kniei cię sprowadza?  
Czy przybywasz do mnie w gości,  
Czy chcesz zabrać moje włości,  
Czy też cel masz niedościgły,  
Aby we mnie wbić swe igły?"

Jeż zawołał: "Dobrodzieju,  
Czarodzieju Babuleju,  
Od przyłbicy aż po pięty  
Jam stalowy Jeż - zakłęty  
Przez Magika Mechanika -  
I wprost załość mnie przenika,  
Kiedy patrzę na mą zbroję,

Na stalowe igły moje.  
Twoja mądrość jest bez miary,  
Powiedz, jak mam zrzucić czary?  
Dokąd iść mam? Wskaż mi drogę,  
Bo tak dłużej żyć nie mogę."

Zastanowił się Babulej  
I do Jeża rzekł już czulej:  
"Z tej krynicy wody ulej.  
Kiedy nią przemyjesz oczy,  
Wnet przed tobą się roztoczy  
Gładka droga. Idź nią zwawo,  
Byle w prawo, zawsze w prawo!  
Gdy dotrzymasz tego święcie,  
Spadnie z ciebie złe zakłęcie."  
Jeż uściskał Babuleja.  
"W tobie cała ma nadzieja" -  
Rzekł z wdzięcznością. Bez przeszkody  
Nalał w dłoń cudownej wody,  
Wodą plusnął sobie w oczy,  
Aż tu nagle się roztoczy  
Droga gładka, lecz zawiała:  
Cała we mgle się gubiła,  
Porośnięta przy tym była  
Migotliwą srebrną trawą.  
Jeż tą drogą ruszył w prawo.

Szedł bez przerwy aż do zmroku,  
Nie zwalniając nawet kroku,  
Ani nie jadł, ani nie pił,  
Tylko chłodem się pokrzepił.  
Dziwne dziwy widział z lewa:  
Migdałowe kwitły drzewa,  
Kolorowych słońc ulewa  
Oblewała piękne place,  
Na nich domy i pałace,  
A w pałacach rajskie ptaki,  
A w ogrodach złote maki,  
A wokoło mleczne rzeki  
Zdążające w świat daleki.

Jeża złudy nie skusiły.  
Wyteżając wszystkie siły,  
Ciagle w prawo szedł po drodze,

Pamiętając o przestrodze.  
I po stronie właśnie prawej  
Ujrzał Jeż rtęciowe stawy.  
Falowała rtęć srebrzyście  
I srebrzyła się faliście,  
I jaśniała uroczyście,  
Blask rzucając na wybrzeża,  
Na dal mroczną i na Jeża.

Jeż przed siebie śmiało dążył,  
W żywym srebrze się pograżył  
I przez rtęci śliskie fale  
Płynął silnie i wytrwale.  
Stoczył przy tym bój zajadły,  
Bowiem zewsząd go opadły  
Wygłodniałe, złe trytony,  
Ale on, niezwyciężony,  
Mieczem rąbał i wywijał,  
Aż je wszystkie pozabijał.  
Gdy Jeż stawy wreszcie przebrnął,  
Połyskiwał zbroją srebrną.

Kroczył naprzód niestrudzony,  
Rtęcią złudnie posrebrzony,  
Miecz wyostrzył, jak należy,  
A gdy mrok się rozlał szerzej,  
Zszedł w Dolinę Nietoperzy.  
Czuł, że bój nie będzie błahy:  
Nietoperze z kutej blachy,  
Z metalicznym skrzydeł chrzęstem,  
Uderzyły rojem gęstym,  
Ćmy blaszane o północy  
Przyleciały do pomocy,  
A ze szczelin pełzły strachy,  
Nocne strachy z kutej blachy.

Jeż odważnie się najeżył,  
Halabardą się zamierzył,  
Wpadł w sam środek nietoperzy  
I na oślep ciął z rozmachem  
Napastliwą groźną blachę.  
Ciem padały całe stosy,  
A on wciąż zadawał ciosy,  
Nietoperzy chmary tępił,

Tarczę pogiał, miecz przytępił,  
Deptał blachę pokonaną,  
A gdy bój się skończył rano,  
Stwierdził Jeź swój tryumf świeży,  
Więc z Doliny Nietoperzy,  
W której posiał śmierć i trwożę,  
Wyszedł znów na gładką drogę.

Mgła, jak zwykle, drogi strzegła,  
Droga prawą stroną biegła.  
A gdy świt był niedaleko,  
Stanął Jeź nad wielką rzeką.  
Nurt burzliwy i spieniony  
Tworzył wiry z prawej strony.  
Jeź to zoczył, lecz nie zboczył,  
Tylko w środek wirów skoczył.  
Płynął śmiało jak na połów,  
A gdy przemógł moc żywiołów,  
Ujrzał Wyspę Trzech Bawołów.  
Był na wyspie las potężny,  
Nie drewniany, lecz mosiężny,  
Z lasu, sadząc przez wądoły,  
Wyskoczyły trzy bawoły  
I ruszyły wprost na Jeża,  
Który dotknął już wybrzeża.  
Ziemia drżała, tratowana  
Przez bawoły. Gęsta piana  
Wystąpiła im na pyski,  
W ślepiach drgały krwawe błyski,  
A kopyta ich potężne,  
Nie zwyczajne, lecz mosiężne,  
I mosiężne wielkie rogi  
W sposób groźny i złowrogi  
Skierowały się na Jeża:  
Tylko bawół tak uderza.  
Jeź, do walki już gotowy,  
Wyjął z pochwy miecz stalowy,  
W bok uskoczył i zawzięcie  
Rąbnał mieczem. Straszne cięcie  
Zmiotło sześć bawolich rogów,  
Które spadły wśród rozłogów.  
Ich mosiężny dźwięk rozbrzmiewał,  
O mosiężne tłuł się drzewa  
I przez echo powtórzony,

Brzmiał i grzmiał na wszystkie strony.

A bawoły chyląc głowy  
Legły rzędem. Jeż stalowy  
Stał podparty halabardą  
I przyglądał się z pogardą  
Pokonanym swoim wrogom  
I mosiężnym wielkim rogom,  
Po czym w prawo ruszył drogą.

Dziwne dziwy widział z lewa:  
Z białych skał sfrunęła mewa  
Trzepotliwa, śnieżnobiała,  
W dziobie złoty klucz trzymała,  
Kluczem skały otwierała,  
Otwierała złote bramy,  
Skarbce, zamki i sezamy.

On szedł w prawo, ciągle w prawo,  
Gardził złotem, gardził strawą,  
Szedł bez przerwy, aż do zmroku,  
Nie zwalnając nawet kroku.  
Ani nie jadł, ani nie pił,  
Tylko chłodem się pokrzepił.

Kiedy tak przez piachy kroczył,  
Z pochwy naraz miecz wyskoczył  
I pofrunął w dal z łoskotem,  
Tarcza za nim w ślad, a potem  
Halabarda, mknąc przed siebie,  
Znikła szybko w nocnym niebie.

Jeż oniemiał, Jeż się zdumiał,  
Ale zanim coś zrozumiał,  
Jakaś siła niebywała  
Nagle z ziemi go porwała  
I poniosła jak źdźbło słomy  
W świat daleki, niewiadomy.

Jeż w niezwykłym swoim locie  
Widział gwiazd jarzących krocie,  
A pod sobą czarną chmurę,  
A przed sobą wielką górę  
Niebotyczną i wyniosłą -

Do niej właśnie Jeża niosło.

Jeż wyteżył wyobraźnię,  
Wzrok wyteżył i wyraźnie  
Widział teraz i miarkował,  
Że to Góra Magnesowa  
Z dali ciemnej się wyłania,  
Że jej siła przyciągania,  
Nieodparta i straszliwa,  
Stał unosi i porywa.

Leciał Jeż jak srebrna kula,  
Brzęczał tak jak pszczoła z ula,  
Góra przed nim w oczach rosła  
Niebotyczna i wyniosła,  
Wreszcie gniewny i ponury  
Przyłgnął Jeż do zbocza góry.

Stał bezbronny, pełen trwogi,  
Magnes więził jego nogi  
I krępował wszystkie ruchy,  
Tak jak muchę lep na muchy.

Chcąc się wyrzec z tej niewoli,  
Jał poruszać się powoli,  
Jał powoli piąć się w górę,  
Nie zważając na wichurę.  
Szedł pięć godzin, aż o świcie  
Wreszcie znalazł się na szczycie.

Był tam pałac z gwiazd wysnuty  
I był człowiek w złocie kuty  
I obuty w złote buty.  
A dokoła w barwnej śniedzi  
Stali ludzie z brązu, miedzi  
I z mosiądzu, i z ołowiu -  
Stali wszyscy w pogotowiu.  
Władca Góry Magnesowej  
Do zdobyczy swojej nowej  
Krzyknął: "Jam jest w złocie kuty  
I obuty w złote buty,  
Bezprzykładna dzielność twoja  
Ani pancerz, ani zbroja  
Nie uchronią cię przede mną.

Ja mam taką moc tajemną,  
Że się tylko stałą żywie  
I na górze tej szczęśliwie  
Miedzią, brązem i mosiądzem  
Jak posłusznym ludem rządę.  
Broń się, Jeżu! Mam ochotę  
Stal twą przebić ostrzem złotym!"

Jeż zawołał: "Niech się stanie!  
Chodź, przyjmuję twe wyzwanie.  
Nie mam miecza ani tarczy,  
Ale igieł mi wystarczy!"  
Po tych słowach pięść zacisnął,  
Złoty rycerz tarczą błysnął,  
Błysnął złotym swym pancerzem,  
A gdy stanął tuż przed Jeżem,  
Porwał szybko w dłoń waleczną  
Złotą klingę obosieczną.

Zawrzał bój. I brzęk metali,  
Naprzód złota, potem stali,  
Dookoła się rozlegał  
I wraz z echem w dal wybiegał.  
Nagle dopadł Jeż rycerza  
I straszliwa igła Jeża  
W pancerz wbiła się ze zgrzytem.  
Rycerz zachwiał się, a przy tym  
Krwi czerwonej kropla spadła,  
Krew trysnęła na wiązadła,  
Na napierśnik, na przyłbicę,  
Na stalowe rękawice.

Właśnie krwi tej kropla świeża  
Złe zaklęcie zdjęła z Jeża.  
Pękła stal, przyłbica spadła  
I dziewczyny twarz pobladła  
Wyłoniła się ze stali,  
A tu stal pękała dalej,  
Opadała jak lupina -  
Wyszła z niej na świat dziewczyna  
Jawiac wdzięki swe dziewczęce  
I dziewczęce białe ręce,  
I kibici kształt powabny,  
Obleczony w strój jedwabny.

Rycerz patrzył ze zdumieniem,  
Podszedł, objął ją ramieniem  
I na jego pierś złocistą  
Łza jej spadła kroplą czystą.

I - o Boże! - łza ta świeża  
Zdjęła czary złe z rycerza,  
Złoto spadło zeń. Okowy  
Władcy Góry Magnesowej  
Nie zdołały już się ostać  
I młodzieńca piękna postać  
Przed dziewczyną kornie stała,  
A dziewczyna promieniała,  
Białe ręce wyciągała.

Świat spowiła mgła różowa,  
W mgle tej Góra Magnesowa  
Rozpłynęła się, przepadła,  
Tak jak nikną złe widziadła  
I dokoła zaszła zmiana  
Niewidziana, niespodziana:  
Migdałowe kwitły drzewa,  
Kolorowych słońc ulewa  
Oblewała piękne place,  
Na nich domy i pałace,  
A w pałacach rajskie ptaki,  
A w ogrodach złote maki,  
A dokoła mleczne rzeki  
Zdążające w świat daleki.

Cały bezmiar grał i śpiewał.  
Z białych skał sfrunęła mewa,  
Trzepotliwa, śnieżnobiała,  
W dziobie złoty klucz trzymała,  
Kluczem skały otwierała,  
Otwierała złote bramy,  
Skarbce, zamki i sezamy.

A młodzieniec rzekł najczulej:  
"Zaczarował mnie Babulej,  
Zakuł w złoto swym zaklęciem,  
A ja jestem sławnym księciem,  
Dzielnym księciem Złotowojem,  
Właśnie jesteś w państwie moim."

"A ja - rzekła mu dziewczyna -  
Jestem panna Klementyna,  
Pasierbica Mechanika -  
Śledziennika i magika.  
Ach, to złośnik jest nieczuły,  
Jego słowa mnie zakuły  
W stał okrutną, w postać Jeża,  
Który nie wie, dokąd zmierza."  
"Porzuć troskę nadaremna -  
Rzekł Złotowój. - Zostań ze mną.  
Mowie serca chciej uwierzyć,  
Pragnę z tobą życie przeżyć,  
Będziesz dobrą moją żoną,  
Szanowaną i wielbioną,  
Mieszkać będziesz w tych ogrodach,  
Wchodzić będziesz po tych schodach,  
Siedzieć będziesz na tym tronie,  
Jak przystało mojej żonie!"

Klementyna się zgodziła,  
Była dobra, była miła,  
Z mężem dużo lat przeżyła  
W wielkim szczęściu i bez waśni -  
I to właśnie koniec baśni.

Na ulicy Czterech Wiatrów  
Niedaleko Bonifratrów  
Do zachodnich ścian przytyka  
Sklep Magika Mechanika.  
Sklep, zamknięty na trzy spusty,  
Jest od dawien dawna pusty,  
Lecz przez szybę wystawową,  
Gdy do szyby przyłgnać głową,  
Widać wielką pajęczynę.  
Pająk wątłą swą tkaninę  
Utkął z nudów i z nawyku  
Dnia pewnego, w październiku.